

ANNA SÓLYOM

Muszę cię odnaleźć

PRZEŁOŻYŁA
Aleksandra Żak

MANDO 

Originally published under the title *El perro que seguía las estrellas*

© 2024 Anna Sólyom

© 2024 VR Europa, un sello de Editorial Entremares, S.L.

C/ Balmes 188, 08006 Barcelona - www.vreuropa.es

© Translation rights arranged by Sandra Bruna Agencia Literaria SL
and Booklab Literary Agency, Poland

All rights reserved

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2025

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Sylwia Kajdana

Korekta: Maria Armatowa, Magdalena Koch

Projekt okładki i wyklejki: Adam Gutkowski

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-2774398-5

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: LEYKO Sp. z o.o. • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Artis white 70 g vol. 2.0

Spis treści

9	61
Rozdział 1	Rozdział 12
17	66
Rozdział 2	Rozdział 13
22	69
Rozdział 3	Rozdział 14
28	72
Rozdział 4	Rozdział 15
31	75
Rozdział 5	Rozdział 16
34	79
Rozdział 6	Rozdział 17
36	82
Rozdział 7	Rozdział 18
39	85
Rozdział 8	Rozdział 19
44	89
PSIE MĄDROŚCI #0	Rozdział 20
<i>Notatki do reportażu</i>	93
46	PSIE MĄDROŚCI #1
Rozdział 9	<i>Notatki do reportażu</i>
52	94
Rozdział 10	Rozdział 21
58	96
Rozdział 11	Rozdział 22

99	156
Rozdział 23	Rozdział 36
103	162
Rozdział 24	Rozdział 37
105	166
Rozdział 25	PSIE MĄDROŚCI #3
110	<i>Notatki do reportażu</i>
Rozdział 26	168
112	Rozdział 38
Rozdział 27	170
115	Rozdział 39
Rozdział 28	176
118	Rozdział 40
Rozdział 29	181
125	Rozdział 41
Rozdział 30	184
128	Rozdział 42
PSIE MĄDROŚCI #2	189
<i>Notatki do reportażu</i>	Rozdział 43
130	194
Rozdział 31	PSIE MĄDROŚCI #4
136	<i>Notatki do reportażu</i>
Rozdział 32	195
140	Rozdział 44
Rozdział 33	197
147	Rozdział 45
Rozdział 34	202
152	Rozdział 46
Rozdział 35	206
	Rozdział 47

208	253
Rozdział 48	Rozdział 59
212	258
Rozdział 49	Rozdział 60
216	262
PSIE MĄDROŚCI #5	Rozdział 61
<i>Notatki do reportażu</i>	264
217	Rozdział 62
Rozdział 50	266
221	PSIE MĄDROŚCI #7
Rozdział 51	<i>Notatki do reportażu</i>
223	267
PSIE MĄDROŚCI #6	Rozdział 63
<i>Notatki do reportażu</i>	272
224	Rozdział 64
Rozdział 52	275
227	Rozdział 65
Rozdział 53	280
230	Rozdział 66
Rozdział 54	284
235	Rozdział 67
Rozdział 55	291
238	Epilog
Rozdział 56	295
243	16 MĄDROŚCI ROSHIEGO
Rozdział 57	297
248	Podziękowania
Rozdział 58	

Dla wszystkich
dwunożnych i czworonożnych przyjaciół,
którzy pomagają nam żyć i cieszyć się życiem.
Dziękuję za przypominanie,
że miłość zawsze znajdzie drogę.

Aztekowie wierzyli, że po śmierci dusza wyrusza w długą podróż w zaświaty. Aby dotrzeć do celu, trzeba przebyć dziewięć miejsc w podziemnym świecie Mictlan. To trudna droga, niektóre dusze nie są w stanie jej przetrwać. Wiele może się na niej wydarzyć i uniemożliwić osiągnięcie wiecznego spokoju.

Pierwszym etapem jest przebycie szerokiej rzeki oddzielającej świat zmarłych od tych, którzy chcą osiągnąć życie wieczne. Rzeka jest tak szeroka i rwąca, że każda dusza, próbując ją przekroczyć, utonie, jeśli nie pomoże jej pies.

Bo w tej rzece pływają niezliczone psy, to one decydują, kto zasługuje, by przejść na drugą stronę, na brzeg wieczności.

I choć za życia to zwykle człowiek wybiera psa, który będzie mu towarzyszył, po śmierci pies wybiera człowieka, którego warto poprowadzić do nieśmiertelności. Wielu ludzi nie zdobywa zaufania zwierzęcia i ich dusze nie zostają wybrane, dlatego ich droga kończy się na dnie rzeki, gdzie pozostają na zawsze.

Przebycie rzeki i kolejnych ośmiu miejsc do krainy wieczności trwa cztery lata, tak więc wiele dusz stara się zwabić psy czułymi słówkami, one jednak nie dają się oszukać. Widzą, które są czyste, a które nie. Jeśli w życiu było się dla psów życzliwym i współczującym, może nawet przygarnęło się takiego psa, który nie miał domu, zostanie się wybranym i uratowanym.

Dlatego starzy Aztekowie z czcią traktowali swoich czworonożnych towarzyszy – wiedzieli, że to ich najlepsi przyjaciele, zarówno za życia, jak i po śmierci.

Opowiem wam o wiecznej przyjaźni między człowiekiem i psem oraz o długiej podróży po świecie żywych, o tym, jak pies, próbując wrócić do domu, uratował po drodze wiele dusz, na zawsze pozostawiając po sobie ślad.

I

Są tacy towarzysze, którzy na zawsze zmieniają nasze życie, przyjaciele, którzy ciągną za sobą „ogon” niczym golden retriever czekający na Ingrid z niespokojnym błyskiem w oczach.

Gdy zamykają się drzwi piwnicy, jej ponad siedemdziesięcioletnim ciałem wstrząsa lekki dreszcz. Nie lubi zostawiać swojego towarzysza życia samego, nawet na jedną noc.

Są przyjaciółmi od trzech lat i nigdy nie oddaliła się od niego w obcym miejscu. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie odbyli tak dalekiej podróży.

Ingrid wspina się po schodach i idzie do samochodu swojego brata.

Kobieta tak samo jak pies nie lubi sztucznych ogní, ale atmosfera świętowania zawsze podnosi ją na duchu. Dawniej, kiedy czuła się samotna, lubiła słuchać śmiechu młodych ludzi w weekend, cieszyć się muzyką i patrzeć na radosne tańce. Uważała, że chiński Nowy Rok zawsze przychodzi w samą porę, kiedy dogasają radość i światła okresu bożonarodzeniowego. Nie ma nic lepszego na styczniowe przygnębienie niż tańczący smok.

Jednak to było, zanim w jej życiu pojawił się Roshì.

Ingrid ostatni raz patrzy na dom brata, a potem z westchnieniem zamyka drzwi od strony pasażera. Samochód rusza.

W noc czwartego lipca wszędzie jest pełno ludzi, panuje zgiełk. Tłumy wiją się między stoiskami z jedzeniem i napojami. Wielka flaga USA powiewa obok centralnego namiotu, a kolorowe światełka zwisają nad trawnikiem, gdzie ludzie czekają, siedząc lub stojąc, na rozpoczęcie widowiska. Trudno wyobrazić sobie święto wspanialsze od Dnia Niepodległości.

Ciemność króluje nad straganami i falującymi na parkowych ścieżkach mniejszymi flagami, aż wreszcie sztuczne ognie rozbłyskują na niebie. W końcu oficjalne efekty pirotechniczne ustępują chaotycznym fajerwerkom dzieci i młodzieży, zdających się kierować petardy na stopy przechodniów.

Gdy w pobliżu coś wybucha, Ingrid szuka wzrokiem Roshiego. Z ulgą przypomina sobie jednak, że przecież go tu nie ma. Zostawiła go w piwnicy brata, którego nie odwiedzała od lat. Zastanawia się, czy psu spodoba się ten obcy dom.

Brat szturcha ją parę razy w ramię, jakby budził ją ze snu.

– Idę po coś do picia. Przynieść też dla ciebie?

Ona potrząsa głową.

Drobna chłodna rączka chwyta ją za prawą dłoń.

– Podoba ci się, ciociu?

Obok niej stoi Eva, malutka wnuczka brata; na główce ma ogromny kapelusz, który prawie zasłania jej oczy. Wspina się na palce, jakby chciała przyciągnąć uwagę Ingrid, o której wiele słyszała, a której dotąd nie miała okazji poznać.

– Oczywiście, kochanie, to piękna uroczystość! – odpowiada Ingrid, ściskając jej dłoń. – Bolą mnie plecy i nie mogę cię podnieść tak jak dziadek albo tata, ale może znajdziemy jakieś krzeselko, żebyś mogła lepiej widzieć.

– Tata mi obiecał hot doga. Czemu go tak długo nie ma? Mama dawno temu poszła do łazienki... Coś jej się stało?

– Jest długa kolejka, kochanie. Musimy cierpliwie poczekać, aż wróci...

„Opieka nad Evą nie może być trudniejsza niż zajmowanie się Roshim” – myśli.

– Jestem zmęczona! – krzyczy mała.

– Możemy usiąść tutaj, co ty na to?

Ingrid puszcza dłoń Ewy i wyciąga z plecaka swój stary koc piknikowy w zieloną kratę, żeby rozłożyć go na trawie zalatującej spalenizną.

Nie zważając na wybuchające wokół petardy, bosa Eva radośnie wchodzi na koc. Na środku pochyla się jak tancerka, starając się utrzymać równowagę chudziutkiego ciała.

– Ciociu, a ty nie chcesz hot doga? Roshiemu na pewno by smakował... A tak w ogóle to dlaczego go tu nie ma?

– Został w domu. Musieliśmy go zamknąć w piwnicy, żeby był bezpieczny i spokojny. No wiesz... sztuczne ognie nie są dla piesków.

Nagle uwagę Ewy przyciąga ognisty błysk na niebie.

– Ciociu, popatrz, widziałaś?!

Tuż nad nimi światła malują imponujące serce z czerwonych gwiazdek, potem słysząc kolejne gwizdy i petardy.

*

Dom pachnie kurzem i wilgocią. Mój nos wychwytuje wiele warstw zapachów, nowych i starych. Niektóre pozostawiły ledwo wyczuwalną nutę, inne są tak intensywne, że aż zaczynam kichać, zwłaszcza kiedy obwąchuję coś, co dawno temu uległo rozkładowi w tej szafie, do której wetknąłem nos.

Jestem pewien, że poza zapachami dom jest pusty. Wiem to, ponieważ szczekam i piszczę, a odpowiada mi tylko cisza.

Kiedy Ingrid sobie poszła i zostawiła mnie samego, kiedy usłyszałem ryk silnika, wyłem jak wilk, ale na nic się to zdało.

Siadam i drapię się po prawym uchu.

Z wytrwałością ogara badam wszystkie zakamarki piwnicy. Dłuższą chwilę poświęcam na ustalenie, jak działają drzwi wychodzące na schody.

Są bardzo podobne do tych w naszym domu. Dlatego stoję na dwóch łapach i opieram się o nie, usiłując je pchnąć.

Ale nie drgnęły.

Kiedy już coś sobie postanowię, to uparcie do tego dążę, dlatego sprawdzam wszystkie możliwe drogi wyjścia. W końcu gdy znów przechodzę przez środek niewielkiego pomieszczenia, czuję na nosie powiew świeżego powietrza. Całe moje ciało się napina.

Podnoszę pysk niczym radar, poruszam głową na boki, starając się znaleźć źródło czystego powietrza.

Podążam za powiewem i w końcu łapy doprowadzają mnie do otwartego okna nad wąskim składzikiem. Okno jest dość wysoko, ale innej drogi ucieczki nie widzę.

Wyję do okna, żeby dodać sobie otuchy.

Muszę skoczyć. Potrzebuję jednak od czegoś się odbić, żeby doskoczyć do okna. Jest za wysoko.

Otrząsam złotą sierść, ale nie przychodzi mi do głowy żaden sposób, żeby pokonać odległość, jaka dzieli mnie od wolności i ukochanej Ingrid.

Dlaczego mnie tutaj zamknęła? Przecież niczym sobie nie zasłużyłem na karę... Ingrid nigdy nie zostawiła mnie samego w obcym miejscu. Aż do teraz.

To coś zupełnie innego niż zostawanie w domu! Tam przynajmniej miałem pewność, że ona wróci. A tutaj nie.

Muszę wyjść, odnaleźć ją!

Znowu zerkam na składzik i chodząc, zataczam małe kręgi, żeby znaleźć coś, co może mi pomóc. Pod oknem widzę wąski stół ze słoikami dżemu. Dość wysoko, ale innej drogi nie ma.

Zawsze lubiłem zabawy zręcznościowe. Biegi i skoki, które proponuje mi Ingrid, żeby utrzymać mnie w formie, w końcu się opłacą!

Gdy moje łapy dosięgają stołu, dwa słoiki spadają i głośno roztrzaskują się o podłogę. Nieważne, teraz już nie ma odwrotu.

Odbijam się od pustego fragmentu stołu i za drugim razem udaje mi się wymknąć przez okno.

Podczas skoku grzbietem ocieram się o górną framugę okna. Zraniłem się, ale jestem już wolny! Próbuję polizać ranę, lecz nie mogę jej dosięgnąć. Jest na środku grzbietu. Trzeba sobie z tym jakoś poradzić – rzucam się na ziemię i zaczynam się turlać z boku na bok jak naleśnik.

Czuję się trochę lepiej.

Kiedy wstaję, otrząsam się od nosa aż do ogona. Potem się odwracam, żeby z zewnątrz obwąchać tę okropną dziurę, z której przed chwilą uciekłem.

Moją radość szybko przerywa przykre odkrycie.

Samochód, ten hałaśliwy grat, który parę dni temu nas tu przywiózł, nie stoi już przed domem. Na szczęście potrafię wyczuć jego ślad, który pozostawił, oddalając się od domu na uboczu. Ślad biegnie do miasta.

Szkoda, że zapach nie prowadzi na leśną ścieżkę, po której spacerowaliśmy przez kilka ostatnich dni – tamtą trasę znam jak poduszcзки własnych łap.

Nie pozostaje mi nic innego, jak podążać za nosem.

Długo idę poboczem szosy. W końcu docieram na obrzeża miasta, w okolice parku. Słyszę szum strumyka.

Szukam śladu Ingrid, a zarazem staram się kroczyć za pieszymi, którzy, jak się zdaje, wiedzą, kiedy przechodzić przez ulicę.

Gdy mijam bramę do parku, po raz pierwszy wychwytyuję zapach mojej przyjaciółki. Nareszcie, szczęście się do mnie uśmiechnęło!

Wchodzę u boku sympatycznej rodziny z dwójkiem dzieci, które chcą mnie pogłaskać, ale rodzice je powstrzymują. Ludzie nigdy nie wiedzą, czy pies jest łagodny, czy nie. Idę za nimi przez chwilę, mierzając wyciągniętym ogonem do rytmu ich lekkich kroków.

Rodzina zmierza w kierunku, z którego niesie się zapach Ingrid.

Jestem skupiony, nie zwracam uwagi na otaczający mnie tłum. Wiem, że Ingrid jest gdzieś blisko, tylko to się liczy.

Podążam wraz z rzeką ludzi jak cień – jak na psa ze złotą sierścią jest to niezłe osiągnięcie – kiedy w parku rozlega się potężna eksplozja.

Przerażony biegnę się schować w krzakach przy ścieżce. Próbuję określić kierunek zagrożenia, ale nie potrafię, bo eksplozji jest teraz więcej, rozlegają się ze wszystkich stron. Biegnę ile sił w łapach, wpadam po drodze na ludzi i przez to boję się jeszcze bardziej. W końcu znajduję dół otoczony wysoką trawą.

Czaję się w tej bezpiecznej kryjówce, choć ledwie się tu mieszczę, i mam ochotę zapaść się pod ziemię. Skamle prawie niedosłyszalnie. Pragnę tylko znaleźć Ingrid i wrócić do domu.

2

Kiedy kończą się sztuczne ognie i wszyscy są objedzeni hot dogami, frytkami, tacos i innymi festynowymi przysmakami, Ingrid upiera się, że trzeba wracać do domu. Mała Eva biega wokół rodziców, jak zwykle podskakując, ale jej cioteczna babcia jest wyczerpana.

Myśli tylko o tym, żeby uciec od zgiełku, wypuścić Roshiego z piwnicy i zabrać go na wieczorny spacer. Tęskni za nim, wyobraża sobie, jaki jest samotny i smutny w tym obcym domu.

Ludzie powoli się rozchodzą, większość straganów z jedzeniem już się zamyka. Światła gasną. Tylko przy jednym stoisku ciągle jest kolejka – to bar sprzedający napoje alkoholowe za pół ceny. Poza tym park już opustoszał.

To jak cisza po straszliwej burzy, tym bardziej że wszędzie walają się śmieci. Ingrid nigdy nie rozumiała, dlaczego ludzie nie potrafią odnieść swoich odpadków do kosza.

Być może nadchodzi zbiorowe oświecenie – tak twierdzi jej instruktorka jogi – ale ona nie spodziewa się go zobaczyć za życia.

Jedno jest pewne: ekipa sprzątająca park będzie miała dzisiaj dużo pracy.

Kiedy Tim, jej chudy, łysy brat, chce zamówić następną kolejkę, Ingrid z trudem wstaje z koca piknikowego i mówi:

– Ja idę. Jestem zmęczona, chcę się zobaczyć z Roshim.

– Siostrzyczko, tyle lat nie świętowaliśmy razem czwartego lipca... Zostań jeszcze chwilę!

– Chcę się zobaczyć z moim psem, poza tym bolą mnie plecy. Znajdę samochód, o to się nie martw. A ciebie ktoś na pewno odwiedzi. Możesz mi dać klucze do domu?

– Już dobrze... Pojadę z tobą. Obiecałem, że się tobą zaopiekuję!

Ostatnie słowa Tima giną w ataku kaszlu, od którego mężczyzna aż zgina się wpół. Po chwili jednak prostuje się z pozorną łatwością, ocierając przy tym z czoła krople potu.

Ingrid obejmuje go prawym ramieniem.

– Jak się czujesz? Brzydki ten kaszel...

Niespokojnie wpatruje się w twarz brata. Tim pociera głowę i próbuje ją zbyć.

– Wszystko dobrze – mówi. – Idziemy do domu. – I znowu kaszle.

Jego syn Lance zerka na ojca zmartwiony. Ma rozpiętą koszulę i leży na boku – jest mu za wygodnie, żeby się ruszyć. Mimo to pyta:

– Wszystko dobrze, tato?

Timowi nie podoba się, że syn marszczy brwi. W tych błękitnych oczach nie powinno być niepokoju o ojca. Jego żona Sophie z obojętnością patrzy na całą scenę.

– Wszystko dobrze, synu, to nic takiego. Zabierasz Evę do domu?

– Zostaniemy tu jeszcze trochę – decyduje Sophie. – Dobrze, żeby mała jeszcze trochę się wyszalała, ostatnio wieczorami nijak nie może zasnąć.

Na te słowa Ingrid się żegna.

– Bawcie się dobrze, my idziemy.

Odwraca się, by się pożegnać z Evą, i rusza w kierunku żwirowej ścieżki. Dziewczynka dalej biega wkoło. Na widok jej radości kobiecie robi się ciepło na sercu, ale myśl o kaszlu brata nadal ją dręczy.

Jest prawie pewna, że Tim coś przed nią ukrywa.

*

– Roshi! Mamusia wróciła! – woła Ingrid po wejściu do domu.

Tim potrząsa głową i upuszcza klucze na komodę przy wejściu.

„Czemu ona jest taka przywiązana do tego zwierzęcia? – myśli. – Przecież to tylko pies!”

Rozumie, jak samotna musi czuć się Ingrid, odkąd zmarł Gerard, ale ta nadmierna miłość do zwierzęcia wydaje mu się irracjonalna.

Zdejmując buty, myśli o kaszlu i kłującym bólu, który odczuwa głęboko w płucu. Jeszcze nie

odważył się pójść do lekarza. Boi się złych wieści. Dlaczego starzenie się jest takie trudne?

Właśnie zmierza do kuchni, kiedy Ingrid woła roztrzęsiona:

– Tim! Nie ma Roshiego! Uciekł!

– Co? – Mężczyzna zbiega po schodach do piwnicy.

„Jak pies mógł się stamtąd wydostać? To niemożliwe” – myśli.

Ingrid stoi oparta o drzwi, kiedy Tim do niej schodzi. Jej oczy zrobiły się wielkie i szkliste, zmarszczki wokół ust drgają.

Psa nie ma.

Tim podąża za spojrzeniem siostry i widząc otwarte okno, aż przeciera oczy ze zdumienia. Jak to możliwe, że pies doskoczył aż tam?

Jednak rozbite słoiki z dżemem na podłodze nie pozostawiają wątpliwości.

– Chodźmy go poszukać – mówi Tim, masując jej dłonie. – Spokojna głowa, znajdzie się.

Ingrid uwalnia ręce od krzepiącego gestu brata i biegnie do stołu. Wdeptuje mokasynami w rozlany na podłodze dżem. Jest tak przestraszona, że brak jej nawet tchu, żeby płakać.

– Nie powinnam była go tu zostawiać samego... – Potem, usiłując złagodzić ból żartem, krzyczy: – Cholerny trening zręcznościowy dla psów!

Natychmiast biegną na parter, wybiegają i okrążają dom, żeby przyjrzeć się oknu nad spiżarnią.

Ingrid przykłęka przy nim i widzi kłak złotej sierści zaczepiony o zawias okna. Doskonale zna ten kolor. Delikatnie wyciąga sierść. Zaciska na niej palce, czując, jakby pod jej stopami otwierała się przepaść.

3

Kiedy kończą się wystrzały, dalej siedzę skulony w dołku, otoczony wysoką trawą. Muszę się upewnić, że nie ma już zagrożenia. Moje ciało stopniowo przestaje drżeć, ale jestem tak wyczerpany, że kładę głowę między łapami, by na chwilę zamknąć oczy.

Nie rozumiem, dlaczego Ingrid poszła w miejsce, gdzie ciągle coś wybucha.

Obok mnie przeszło już tyle osób, że nie jestem w stanie wychwycić jej tropu. W powietrzu czuć zapach spalenizny, lekki wietrzyk spycha na trawę opakowania po hot dogach i tych wszystkich napojach, które ludzie tak lubią.

Kiedy myślę o Ingrid, końcówka mojego ogona smaga powietrze jak bicz. Ale jestem zdezorientowany i nie wiem, gdzie jej dalej szukać. Zaczekam na nią tutaj. Była tu i na pewno już mnie wypatrzy – przekonuję siebie, czując, jak zamykają mi się oczy, bo jestem wyczerpany napięciem.

Jakiś czas później budzą mnie głód i deszcz. Woda powoli wypełnia dołek, w którym się chowałem. Wygląda też na to, że zrobił się głębszy, więc muszę mocno zaprzeć się łapami, żeby wyjść.

Gdy opuszczam kryjówkę, uświadamiam sobie, że nikt nie przyszedł mnie szukać, i zaczynam skamleć. Ingrid już nie przyjdzie, a deszcz zmył wszystkie wcześniejsze zapachy – mój nos jest teraz bezużyteczny.

Żeby dodać sobie otuchy, otrząsam się i ruszam naprzód.

Niedługo docieram nad staw. Woda wygląda na świeżą. Piję, a potem wyciągam łapy, przygotowany na długą noc poszukiwań. Coraz bardziej boli mnie grzbiet. Jakby miejsce, w które uderzyłem się przy wyskakiwaniu przez okno, krzyczało. Na pewno brakuje mi tam trochę sierści, bo czuję, że krople deszczu ślizgają się po mojej skórze.

Po chwili jestem całkiem przemoknięty.

Otrząsam się mocno, tworząc niewielką przelotną chmurę wody pośrodku parku.

Okręcam się wokół siebie i odnajduję żwirową ścieżkę, którą przyszedłem. Wszystkie stoiska są już zamknięte, w parku nikogo nie ma. Waham się, czy wrócić na szosę, czy szukać drogi dalej w parku.

Kieruję nos w powietrze z nadzieją, że wychwycę jakiś znajomy zapach, kiedy nagle kątem oka zauważam trzy poruszające się cienie. Instynktownie przywieram do ziemi i powoli się obracam, żeby sprawdzić, czy dobrze widziałem.

Czućny patrzę na lewo, badam sytuację wszystkimi zmysłami: poniżej, na początku żwirowej

ścieżki, trzy czworonożne sylwetki gromadzą się w deszczu wokół wielkiego kontenera.

Mój ogon się wykręca, kalibruję antenę odbierającą sygnał o niebezpieczeństwie. Tak, to psy, ale z tak daleka nie czuję ich zapachu. Deszcz mi na to nie pozwala. Czy są przyjazne? Może pomogą mi odnaleźć Ingrid?

Przyglądam im się z daleka, one na razie mnie nie dostrzegają. Jeden z nich bezskutecznie próbuje wejść do kontenera. W końcu udaje im się wspólnie przewrócić kontener. Odgłos uderzającego o ziemię metalu przerywa szum deszczu.

Brawo, ekipa!

Powoli się zbliżam, ostrożnie stawiając kroki.

Nie należę do ich sfory, więc zachowuję się niezwyczajnie przezornie: aby okazać przyjazne zamiary, poruszam ogonem na boki bardzo nisko, niemal zmiotam ziemię. One są tak zajęte wyciąganiem resztek jedzenia z kontenera, swoją śmieciową uczcą, że z początku w ogóle mnie nie zauważają.

Kiedy jestem już na tyle blisko, że nawet czuję zapach tego, co jedzą, w końcu mnie dostrzegają. Powietrze na chwilę lodowacieje.

Siadam i opuszczam łeb, by wiedziały, że przychodzę w pokoju. Chyba nie rozumieją komunikatu.

Czarna chuda suka o długich łapach pokazuje kły, warczy, strosząc krótką sierść. W mgnieniu oka staje przede mną, żeby chronić jedzenie. Już wiem, że to przewodniczka niewielkiej sfory.

Jeszcze bardziej się kulę, brzuchem niemal szoruję po ziemi. Przestraszony zaczynam się cofać. Żeby wiedziały, że nie stanowią zagrożenia, poszczekuję i skamlę. W końcu pozwalam całemu ciału opaść.

Nigdy wcześniej nie byłem w takiej sytuacji, ale intuicja mi podpowiada, że nie powinienem patrzeć tej wzburzonej damie w oczy. Zamiatam ogonem ziemię, by przestały widzieć we mnie niebezpieczeństwo. Nie chodzi mi o to, żeby dobrać się do śmieci, chcę tylko uniknąć bójki z trójką nieznamym. Ciągle jeszcze liczę na kolację w domu!

Cała banda nie należy do czystych i śmierzdi nie tylko zagrożeniem, ale też brudem. To pierwsze uliczne psy, jakie poznaję w swoim życiu; rozumiem jednak, że to wrogie powitanie wynika wyłącznie z konieczności obrony terytorium.

Nagle drżenie pod skórą jest dla mnie sygnałem, że zaraz coś się stanie. Nie podoba mi się to. Mój ogon się zatrzymuje, po raz pierwszy patrzę na całą sforę. Oprócz szefowej należy do niej wielki dog argentyński, który pewnie kiedyś był biały. Ma czerwone oczy. Ostatnia to średniej wielkości suka, skrzyżowanie owczarka niemieckiego z nie-wiadomo-czym, o długiej, brązowo-biało-czarnej sierści.

Oba psy skaczą wściekle, stają u boku chudej szefowej, warczą i pokazują kły. Głośno rzucają mi wyzwanie, nawet nie ruszając się z miejsca, w starciu na spojrzenia, które zdaje się trwać wieki.

Jeszcze bardziej się wycofuję, ciągnąc napięty brzuch po ziemi. Ostrzeżenie pod skórą zmienia się w dreszcz, który przechodzi mnie od karku po ogon. Wiem, że swojego bankietu z odpadkami są gotowe bronić w walce na śmierć i życie.

Staram się stamtąd umknąć, ale równocześnie odpowiadam na zaczepkę, pokazując im swoje mocne, zdrowe kły. Sierść na plecach także mi się podnosi.

Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło!

Czuję się, jakby wokół mnie robiło się ciemno. Widzę tylko otaczające mnie, gotowe do ataku psy.

Rozbrzmiewa grzmot jak sygnał do rozpoczęcia ataku: cała trójka rzuca się na mnie.

Pierwsze ugryzienie w lewą łapę jest tak bolesne, że nagle ogarnia mnie furia. Odpowiadam, gryząc jak najszybciej wszystko, na co się natykam: uszy, łapy, karki, nosy... Ale to ich nie odpędza. Jestem domowym psem bez doświadczenia w walkach, przez większość czasu moje kły trafiają tylko w powietrze.

Deszcz, jeszcze mocniejszy niż przedtem, pomaga mi uniknąć niektórych ataków, lecz nie da się wygrać w walce trzech na jednego. Padam na brzuch, popiskując, ale one nie mają nade mną litości.

Okrażają mnie jak wilki swą zdobycz.

Nagle bardzo blisko kontenerów uderza błyskawica. Potem rozlega się ogłuszający grzmot.

Trzy uliczne psy paraliżuje strach, co wykorzystuję, by rzucić się na przewodniczkę i mocno

ugryźć ją w szyję. Zaskoczywszy ją atakiem, zaczynam biec przez park.

Kiedy one przegrupowują się przed pościgiem, ja jestem już daleko od przewróconego kontenera. Po-
stanawiają więc wrócić do śmieci. Ja ocalałem życie.
One wygrały bitwę o ucztę z resztek kiełbasek, ta-
cos, hamburgerów i innych odpadków pozostałych
z ludzkiego święta.



Nie potrzebujesz siedmiu życ. Możesz być szczęśliwy w tym!

Nagore po raz kolejny znajduje się na życiowym zakręcie. Nie ma oszczędności, pomysłu na siebie, a jej ostatni związek właśnie się rozpadł. W akcie desperacji przyjmuje pracę w kociej kawiarni w Barcelonie, choć nie znosi kotów i kociarzy!

To, co na początku ją przeraża, w miarę upływu czasu staje się przemieniającym doświadczeniem. Od każdego z siedmiu mieszkańców kawiarni Nagore dostaje wyjątkową lekcję. Może nawet dzięki nim wreszcie się zakocha (o zgrozo, w kociarzu!)?

Książka dla miłośników kotów, kawy, Barcelony. I dla wszystkich, którzy po prostu chcą się poczuć dobrze!



